

A close-up portrait of a woman with long, dark hair. Her eyes are a striking blue, and her lips are painted a vibrant red. The lighting is soft, highlighting her facial features. The background is dark, making her face the central focus.

WYZNANIA
GEJSZY

ARTHUR GOLDEN

ALBATROS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wyobraź sobie, że siedzimy w cichym pokoju wychodzącym na ogród i gawędzimy o dawnych sprawach przy czarce zielonej herbaty. Powiedziałam do ciebie:

– Właśnie wtedy, gdy poznałam tamtego człowieka... był to dla mnie najlepszy i zarazem najgorszy dzień w życiu.

Powinieneś wówczas odstawić czarkę i spytać:

– Jak to? Najlepszy czy najgorszy? Przecież nie da się tego pogodzić.

Pewnie bym się roześmiała i przyznała ci rację. Sęk w tym, że gdy poznałam pana Tanakę Ichiro, naprawdę było to najlepsze i najgorsze zdarzenie w moim życiu. Zafascynował mnie tak bardzo, że nawet woń ryb na jego rękach wydawała mi się zapachem perfum. Gdybym go nie spotkała, na pewno nie zostałabym gejszą.

Nie urodziłam się i nie dorastałam na gejszę. Nawet nie pochodzę z Kioto. Jestem córką rybaka z małej wioski Yoroido nad brzegiem Morza Japońskiego. Do tej pory zaledwie kilka osób słyszało ode mnie o Yoroido, o domu, w którym się wychowałam, o moim ojcu, matce i o starszej siostrze. Nie opowiadałam o tym, jak zostałam gejszą ani o moich dalszych doświadczeniach. Wielu ludzi wciąż wierzy, że moja matka i babka też były gejszami, i że uczyłam się tańczyć od chwili, kiedy mnie odstawiono od piersi. Prawdę mówiąc, przed laty jeden z moich klientów napomknął przy czarce sake, że tydzień wcześniej przejeżdżał przez Yoroido. Poczułam się niczym ptak, który po długim locie przez ocean

spotkał znajomka z sąsiedniego gniazda. Byłam tak zaskoczona, że nie mogłam powstrzymać okrzyku.

– Yoroido? To przecież moje rodzinne strony!

Biedaczysko! Twarz jego wyrażała całą gamę uczuć. Próbował się uśmiechnąć, ale tylko wykrzywił usta w przedziwnym grymasie, gdyż nie potrafił ukryć konsternacji.

– Yoroido? – wykrztusił. – Chyba nie mówisz poważnie?

O wiele wcześniej wypracowałam pożyteczny uśmiech, nazywany przeze mnie „uśmiechem no”, ponieważ przypominał zastygłą teatralną maskę. Miał tę zaletę, że mężczyźni rozumieli go, jak chcieli. Nie powinno cię zatem dziwić, że korzystałam zeń nader często. Tym razem też się uśmiechnęłam, rzecz jasna, z właściwym skutkiem. Klient westchnął głęboko, wychylił czarkę do dna i wybuchnął gromkim śmiechem, w którym przebiegała wyraźna ulga.

– Co za pomysł! – zawołał, nie tłumiąc wesołości. – Miałabyś pochodzić z tak nędznej dziury? To jakby parzyć herbatę w wiadrze! – Śmiał się. – Wiem, co mnie w tobie pociąga, Sayurisan. Sprawiasz, że czasem wierzę w twoje niewinne żarty.

Nie spodobało mi się porównanie do herbaty parzonej w wiadrze, ale przyznałam w duchu, że po części miał rację. Cóż z tego, że dorastałam w Yoroido? Nie było to najpiękniejsze miejsce. Rzadko kto tam zaglądał. Nikt z mieszkańców nie miał okazji do wyjazdu. Zastanawiasz się pewnie, w jaki sposób ja tego dokonałam. Tu właśnie rozpoczyna się moja historia.

*

Chatkę, w której mieszkałam w rybackiej wiosce Yoroido, nazywałam „trzęsichatką”. Stała na krawędzi klifu, wystawiona na ciągłe wiatry, wiejące od oceanu. Gdy byłam mała, wydawało mi się, że ocean cierpi na chroniczny katar: zawsze dyszał i pociągał nosem, a czasami okropnie kichał – wówczas z podmuchem wichru spadał na nas deszcz piany. Dom czuł się obrażony, że ktoś dmucha mu prosto w twarz, i odchylił się do tyłu, żeby być jak najdalej. Pewnie by się przewrócił, gdyby mój ojciec nie podtrzymał go grubą belką, wyjętą z wraka łodzi. Stał więc w

dalszym ciągu, wsparty niczym starzec na lasce.

Życiewtrzęsichatce układało mi się koślawo. Od najmłodszych lat byłam podobna do matki, mniej do ojca i do starszej siostry. Matka twierdziła, że ulepiono nas z tej samej gliny. Przede wszystkim miałam jej oczy – dziwne, niemal nieznane w Japonii. Nie były ciemnopiwnie, jak u innych mieszkańców wioski, ale przezroczyście szare. Jako mała dziewczynka myślałam nawet, że ktoś je przedziurawił i wysączył tusz. Matka śmiała się, kiedy jej o tym powiedziałam. Zdaniem wróżbitów miała szare oczy, gdyż było w niej zbyt wiele wody – dużo więcej niż pozostałych czterech żywiołów – i przez to cierpiał jej wygląd. Wioskowi powiadali, że w zasadzie powinna była odziedziczyć urodę po rodzicach. Cóż, brzoskwinia smakuje świetnie, grzyb także, lecz nie można ich z sobą łączyć. W ten sam sposób natura okrutnie zadzwiała z matki, dając jej pełne usta babki i mocno zarysowaną szczękę dziadka. Wyglądało to jak delikatny obraz zamknięty w ciężkich i kanciastych ramach. A piękne szare oczy ginęły wśród gęstych rzęs, zniewalających u mężczyzny, lecz u kobiety po prostu śmiesznych.

Matka twierdziła zawsze, że poślubiła ojca, gdyż nosił w sobie tyle drewna, ile ona wody. Ludzie, którzy go znali, wiedzieli, że to prawda. Woda szybko przepływa z miejsca na miejsce i zawsze znajdzie szczelinę, by przemknąć na drugą stronę. Drzewo, wprost przeciwnie, mocno tkwi korzeniami w ziemi. W wypadku ojca miało to swoje znaczenie, gdyż był rybakiem, a człowiek o charakterze drzewa nie boi się morza. Szczerze mówiąc, ojciec uwielbiał morze i tak naprawdę nigdy się od niego nie oddalał. Pachniał słoną wodą nawet po kąpieli. Kiedy nie łowił, siadał na podłodze w mrocznej głównej izbie i naprawiał postrzępione sieci. Ruchy miał tak oszczędne, że gdyby sieć była śpiącym stworzeniem, nie zdołałaby się obudzić. Wszystko robił powoli. Gdy coś go zaskoczyło, mogłam wybiec na dwór, wylać wodę z miski i wrócić, zanim zdążył zrobić zdziwioną minę. Twarz miał pokrytą gęstą siecią zmarszczek, a zza każdej z nich wyzierało inne zmartwienie. To w zasadzie nie była twarz, lecz drzewo pełne gniazd na każdej gałęzi. Ojciec wciąż próbował panować

nad sobą i przez to wyglądał na wiecznie zmęczonego.

Kiedy miałam sześć lub siedem lat, dowiedziałam się o nim czegoś, o czym wcześniej nie miałam pojęcia. Pewnego dnia zapytałam:

– Tato, dlaczego jesteś taki stary?

Zmarszczył brwi, tak że zmieniły się w dwie małe, smętne parasolki nad oczami. Potem westchnął długo i pokręcił głową.

– Nie wiem – odpowiedział.

Popatrzyłam na matkę. Rzuciła mi krótkie spojrzenie, oznaczające „porozmawiamy potem”. Następnego dnia bez słowa zaprowadziła mnie za wioskę, na wzgórze, i skręciła na ścieżkę wiodącą na cmentarz. Wskazała mi trzy groby, każdy zwieńczony dużo wyższą ode mnie białą tyczką. Na tyczkach widniały smutne czarne znaki, których nie umiałam odczytać, gdyż za krótko chodziłam do wioskowej szkoły, by wiedzieć, gdzie się kończy jeden hieroglif, a gdzie zaczyna drugi. Matka wyciągnęła rękę i przeczytała:

– „Natsu, żona Sakamoty Minoru”. – Mój ojciec nazywał się Sakamoto Minoru. – „Zmarła w wieku dwudziestu czterech lat, w dziewiętnastym roku ery Meiji”.

Potem wskazała na następną mogiłę.

– „Jinichiro, syn Sakamoty Minoru, zmarł w wieku sześciu lat, w dziewiętnastym roku ery Meiji”.

Ostatni napis brzmiał tak samo, z wyjątkiem imienia – Masao – i wieku – trzech lat. Chwilę trwało, zanim zrozumiałam, że mój ojciec był już kiedyś żonaty i że stracił całą rodzinę. Jakiś czas później wróciłam na cmentarz i odkryłam, że smutek potrafi ciążyć. Wydawało mi się, że ważę dwukrotnie więcej, jakby groby ciągnęły mnie do siebie.

*

Jak widać, drewno z wodą współżyły nie najgorzej i spłodziły potomstwo o właściwej relacji żywiołów. I chyba nikt się nie spodziewał, że każde z nich dostanie po jednym dziecku. Ja przypominałam matkę i nawet odziedziczyłam jej niezwykle oczy, za to moja siostra Satsu jako żywo była podobna do ojca. Starsza

ode mnie o sześć lat, robiła wszystko, czego ja nie mogłam. Kłopot w tym, że kiedy już się czegoś tknęła, wychodziło jej to niemal przypadkowo. Jeśli ktoś ją prosił, by nalała zupy ze stojącego na ogniu garnka, zupa cudem trafiała do misek. Pamiętam, jak pewnego razu pokroiła się rybą. Nie, nie nożem do oprawiania, ale właśnie rybą. Niosła ją ze wzgórza, zawiniętą w papier. Ryba wypadła i przedziwnym trafem ostrą płetwą skaleczyła siostrę w nogę.

Poza mną i Satsu rodzice mogli mieć więcej dzieci, zwłaszcza że ojciec wyczekiwał syna, zdolnego pływać z nim na połowy. Niestety gdy miałam siedem lat, matka ciężko zachorowała. Prawdopodobnie na raka kości. Wówczas nie zdawałam sobie najmniejszej sprawy z jej poważnego stanu. Sen był dla niej jedyną ucieczką przed cierpieniem, więc zachowywała się jak kotka – całymi dniami spała. Po kilku miesiącach zaczynała jęczeć zaraz po przebudzeniu. Wyczuwałam, że coś się z nią dzieje, ale przecież woda jest zmienna, więc się nie przejmowałam. Czasami szybko chudła, potem – nie mniej prędko – odzyskiwała nadwątłone siły. Zanim skończyłam dziewięć lat, zmizerniała tak, że kości twarzy przebijały jej przez policzki. Nigdy więcej nie przybrała na wadze. Nie wiedziałam, że to choroba wysysa z niej całą wodę. Jak morszczyń, zazwyczaj wilgotny i gruby, po wyschnięciu zmienia się w szeleszczący wiecheć, tak i matka z dnia na dzień traciła swą esencję.

Pewnego dnia, gdy siedziałam na klepisku w mrocznej frontowej izbie i ćwierkałam coś do złapanego rano świerszcza, zza drzwi dobiegło wołanie:

– Oi! Otwórzcie! Tu doktor Miura!

Doktor Miura raz w tygodniu odwiedzał naszą wioskę i zawsze wspinał się na wzgórze, żeby zbadać moją matkę. Robił tak od początku jej choroby. Ojciec tym razem też był w domu, gdyż zbliżała się potworna burza. Jak zwykle kucał w ulubionym miejscu i długimi, pajęczymi dłońmi gmerał w poplątanej sieci. Na chwilę skierował wzrok na mnie i uniósł palec. Znaczyło to, że mam otworzyć.

Doktor Miura był bardzo ważnym człowiekiem. Tak

przynajmniej sądziliśmy w wiosce. Studiował w Tokio i podobno znał więcej chińskich znaków niż ktokolwiek inny. Duma nie pozwalała mu patrzeć na stworzenia w rodzaju małych dziewczynek. Gdy odsunęłam drzwi, zdjął buty i minął mnie bez słowa.

– Och, Sakamoto-san... – odezwał się do ojca. – Chciałbym żyć pana życiem. Całymi dniami na morzu... Przecudownie! A w sztormowe dni odpoczynek. Widzę, że żona śpi – ciągnął. – Szkoda... Myślałam, że ją zbadam.

– Tak? – mruknął ojciec.

– Chodzi o to, że za tydzień nie przyjdę. Mógłby ją pan obudzić?

Chwilę trwało, nim ojciec uwolnił ręce z sieci, lecz w końcu zdołał się podźwignąć.

– Chiyo-chan, poczęstuj pana doktora herbatą – powiedział do mnie.

Miałam wówczas na imię Chiyo. Dopiero później stałam się Sayuri, już jako gejsza.

Ojciec zabrał lekarza do przyległej alkowy, gdzie spała matka. Próbowalam podsłuchiwać pod drzwiami, lecz słyszałam tylko jej jęki i ani słowa z rozmowy. Zaparzyłam herbatę. Wreszcie lekarz wyszedł; zacierał dłonie i miał bardzo poważną minę. Ojciec też wrócił i obaj siedli przy stole pośrodku izby.

– Najwyższa pora, bym panu coś powiedział, Sakamoto-san – oświadczył doktor Miura. – Niechże pan porozmawia z kobietami z wioski. Na przykład z panią Sugi. Bez wątpienia uszyje żonie coś nowego.

– Nie mam pieniędzy, panie doktorze – odparł ojciec.

– Wszystkim nam się źle wiedzie ostatnimi czasy. Rozumiem pana, ale z drugiej strony, musi pan chociaż trochę pomyśleć o żonie. Nie powinna umierać w łachmanach.

– Więc wkrótce umrze?

– Najwyżej za parę tygodni. Okropnie cierpi. Śmierć będzie dla niej ukojeniem.

Nie słyszałam dalszego ciągu. W uszach brzmiał mi donośny łopot skrzydeł przerażonego ptaka. A może było to

moje serce? Nie wiem. Widziałeś kiedyś, jak ptak uwięziony w wielkiej świątyni szaleńczo poszukuje wyjścia? Tak właśnie błędził mój umysł. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że matka nie wyzdrowieje. Nie twierdzę, że nie myślałam o jej śmierci. Myślałam – i to w ten sam sposób, jak o trzęsieniu ziemi niszczącym trzęsichatkę. Dla mnie ów kataklizm wyznaczał kres życia.

– Sądziłem, że umrę pierwszy – powiedział ojciec.

– Wprawdzie jest pan już stary, Sakamoto-san, lecz ma pan końskie zdrowie. Pociągnie pan co najmniej cztery lata. Zostawię żonie zapas pigułek. Jeśli zajdzie potrzeba, niech bierze dwie naraz.

Przez jakiś czas rozmawiali o lekarstwach, potem doktor Miura pożegnał się i poszedł. Ojciec przez długą chwilę siedział tyłem do mnie. Milczał. Był bez koszuli; miał na sobie jedynie pomarszczoną skórę. Im dłużej patrzyłam na niego, tym bardziej zdawał mi się przedziwnym zlepkiem kształtów i cieni. Kręgosłup miał jak gruzłową linę. Jego głowa, pełna różnobarwnych plam, przypominała poobijany owoc. Ręce były patykami, owiniętymi w starą irchę i zwisającymi z dwóch guzów. Co mnie czekało przy nim po zgonie matki? Nie chciałam rozstania, a mimo to wiedziałam, że z nim czy bez niego dom będzie jednakowo pusty.

Wreszcie ojciec wyszeptał moje imię. Klęknęłam obok niego.

– Coś bardzo ważnego – mruknął.

Twarz miał smutniejszą niż zazwyczaj i toczył wkoło wzrokiem, jakby utracił władzę nad oczami. Myślałam, że się waha, jak mi powiedzieć o bliskiej śmierci matki.

– Idź do wioski – wycedził w końcu. – Przynieś kadzidła na ołtarz.

Niewielki buddyjski ołtarzyk stał na starej skrzyni w pobliżu drzwi do kuchni. Był to jedyny wartościowy przedmiot w naszej trzęsichatce. Grubo ciosany wizerunek Amidy, Buddy Zachodniego Raju, zasłaniały maleńkie czarne tabliczki z buddyjskimi imionami zmarłych przodków.

– Ale tato... to naprawdę wszystko?

Łudziłam się nadzieją, że mi odpowie, lecz tylko machnął

ręką na znak, bym odeszła.

*

Ścieżka od naszego domu wiodła najpierw wzdłuż wybrzeża, potem skręcała w głąb lądu, do wioski. Spacer w taki dzień jak wówczas nastroczał niemało trudności, ale ja byłam nawet rada, że dokuczliwy wiatr odrywa mnie od smętnych myśli. Morze szalało, fale – potrzaskane niczym odłamki kamieni – wydawały się dość ostre, by przeciąć skórę. Miałam wrażenie, że przyroda podziela mój smutek. Czymże w końcu jest życie jak nie wiecznym sztormem, który zgarnia wszystko, co nam na chwilę dane, i zostawia na brzegu tylko nagie i poszarpane szczątki? Nigdy przedtem nie zadawałam sobie takich pytań. Usiłowałam od nich uciec. Biegłam ścieżką, aż w oddali zobaczyłam wioskę. Yoroido było maleńkie i ledwie przycupnięte na skraju zatoki. Na morzu zwykle kołysało się stadko kutrów, lecz dziś widziałam tylko kilka śpiesznie wracających łodzi. Dla mnie wyglądały zawsze niczym wodne żuki sunące po falach. Nadciągał sztorm; słyszałam jego głuchy pomruk. Łodzie w zatoce blakły i powoli znikwały za zasłoną deszczu. Po chwili już ich nie było. Widziałam, jak burza wspina się w moją stronę. Pierwsze krople ulewy wydały mi się wielkie niczym przepiórcze jaja. Kilka sekund później przemokłam do nitki. Wyglądałam, jakbym wpadła do morza.

Yoroido miało tylko jedną ulicę, wiodącą wprost do frontowych drzwi Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego. Wzdłuż ulicy stały dwa szeregi domów, z reguły połączonych ze sklepami. Chciałam przebiec na drugą stronę, gdzie mieścił się skład sukiennika Okady. Nagle coś się stało – jedna z tych zwykłych, małych rzeczy, okupionych niewspółmiernym skutkiem, jak przypadkowy upadek pod pociąg. Nogi uciekły spode mnie na rozmięklej, śliskiej drodze i klapnęłam skronią o ziemię. Chyba straciłam przytomność, gdyż pamiętam tylko, że byłam otępiała i miałam w ustach okropny niesmak. Nawet próbowałam splunąć. Słyszałam czyjeś głosy, ktoś mnie odwrócił na wznak, wziął na ręce i poniósł. Wiedziałam, że weszliśmy do Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego, gdyż

czułam wokół siebie mocną woń łusek. Chwilę potem rozległa się seria głuchych pacnięć, gdy ktoś zgarnął kawałki ryb z drewnianego stołu. Położono mnie na oślizłym blacie. Byłam mokra, zakrwawiona, bez butów, upaprana błotem i odziana w zgrzebne wiejskie łachy. Nie wiedziałam wówczas, że nadchodzi ogromna zmiana. Błędnym wzrokiem spoglądałam prosto w twarz pana Tanaki Ichiro.

Już przedtem widywałam go w wiosce. Co prawda żył w sąsiednim mieście, ale przyjeżdżał co dzień, gdyż był właścicielem Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego. Nie nosił wiejskiego stroju, lecz w odróżnieniu od rybaków ubierał się w kimono. Przypominał samuraja z obrazka. Miał gładką, napiętą jak na bębnie skórę, która na wystających kościach policzkowych błyszczała niczym przyrumieniony bok świeżo upieczonej ryby. Zawsze mnie fascynował. Gdy grałam w „zośkę” na ulicy w gromadzie innych dzieci, a on wychodził z budynku firmy, zamierałam w bezruchu, żeby mu się dokładnie przyjrzeć.

Teraz leżałam na mokrym stole, a pan Tanaka odchylił mi dolną wargę, zajrzał w usta, a potem delikatnie obmacał całą głowę. Wpatrywałam się w niego z zachwytem, więc od razu zauważył moje szare oczy. Nawet nie udawałam, że mu się nie przyglądam. On z kolei ani nie odwrócił wzroku, ani nie próbował mnie zbyć lekceważącym uśmiechem. Wyglądał tak, jakby go wcale nie obchodziło, co myślę ani gdzie patrzę. Przez chwilę po prostu gapiliśmy się na siebie. Aż mnie dreszcz przeszedł, choć w budynku panował wilgotny upał.

– Znam cię – powiedział wreszcie pan Tanaka. – Jesteś młodszą córką starego Sakamoty.

Mimo że byłam dzieckiem, wiedziałam, że postrzega świat we właściwych kształtach. W niczym nie przypominał mojego ojca. Byłam pewna, że potrafi dostrzec kroplę żywicy spływającą po pniu sosny i krąg słońca na niebie, prześwitujący przez chmury. Wyraźnie żył w tym świecie, choć nie zawsze czerpał stąd same przyjemności. Wiedziałałam, że dostrzegał drzewa, błoto i dzieci na ulicy, ale nie przypuszczałam, że mógł mnie zapamiętać.

Może właśnie dlatego łzy napłynęły mi do oczu, gdy

usłyszałam jego słowa.

Pan Tanaka pomógł mi usiąść. Myślałam, że każe mi odejść, ale powiedział tylko:

– Nie przeżykaj krwi, dziecko. Chyba że chcesz mieć kamień w brzuchu. Na twoim miejscu splunąłbym na podłogę.

– Krew dziewczynki? – spytał ktoś z tłumu. – To gdzie przeniesiemy ryby?

Musisz bowiem wiedzieć, że rybacy są strasznie przesądni. Zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety. Na przykład nasz wioskowy sąsiad, pan Yamamura... Pewnego ranka zobaczył własną córkę bawiącą się na pokładzie kutra. Obił ją różgą, a łódź polał sake i kwasem tak mocnym, że porobił zacieki na burtach. Nawet to mu nie wystarczyło; sprowadził kapłana shinto, aby odprowadzić egzorcyzmy. Wszystko z tej przyczyny, że dziewczynka usiadła tam, gdzie łowiono ryby! A teraz pan Tanaka chciał, bym pluła krwią na podłogę przetwórni.

– Jak ktoś z was się boi, że jej ślina zmyje rybnie flaki, niech zabiera połów do domu. I tak mi wystarczy.

– Tu nie chodzi o flaki, psze pana.

– Jej krew to najczystsza rzecz, jaka spłynie na tę podłogę od dnia waszych lub moich urodzin. – Pan Tanaka popatrzył na mnie. – Dalej, pluj.

Siedziałam na oślizłym stole, niepewna, co począć. Przeraziła mnie myśl, że mogłabym nie posłuchać pana Tanaki, lecz z drugiej strony nie miałam odwagi splunąć. Nagle zobaczyłam, że jeden z rybaków pochylił głowę, zatkał palcem dziurkę w nosie i smarknął wprost na ziemię. Na ten widok zemdliło mnie ostatecznie i plunęłam krwią, tak jak radził mi pan Tanaka. Rybacy odeszli skrzywieni; został tylko pomocnik pana Tanaki, Sugi. Pan Tanaka kazał mu odszukać doktora Miurę.

– Nie wiem, gdzie go znaleźć – odparł Sugi, chociaż myślę, że tak naprawdę nie kwapił się z pomocą.

Powiedziałam panu Tanace, że doktor Miura przed chwilą był właśnie u nas.

– To znaczy gdzie? – spytał pan Tanaka.

– W małej trzęsichatce na skraju klifu.

- W czym? W... trzęsichatce?
- Stara chata, przegięta w bok, jakby za dużo wypila.

Pan Tanaka nie bardzo wiedział, jak potraktować moje wyjaśnienia.

– Sugi, idź zaraz w stronę trzęsichatki Sakamotów i znajdź mi doktora Miurę. Nie sądzę, byś długo szukał. Już z daleka usłyszysz wrzaski badanych pacjentów.

Myślałam, że gdy Sugi pójdzie, pan Tanaka także powróci do pracy, ale on stał koło stołu i patrzył wprost na mnie. Czułam, że płoną mi policzki. W końcu powiedział coś mądrego.

- Masz na buzi olbrzymie jajo, mała córko Sakamotów.

Podszedł do szafki i podał mi niewielkie lusterko. Faktycznie, miałam mocno opuchniętą, siną wargę. Wyglądała tak, jak mówił.

– Bardziej jednak chcę wiedzieć, skąd u ciebie tak niezwykle oczy. I dlaczego nie jesteś bardziej podobna do ojca?

– Oczy mam po matce – odpowiedziałam. – A jeśli chodzi o ojca, to jest tak pomarszczony, że nikt nie wie, jak naprawdę wygląda.

- Ty także kiedyś dostaniesz zmarszczek.

– Ale parę z nich sam sobie zrobił! – zawołałam. – Z tyłu głowy jest równie stary jak na twarzy, a tam ma skórę gładką jak skorupka jaja.

– W zasadzie nie należy tak mówić o własnym ojcu – zamruczał pan Tanaka – lecz prawdopodobnie masz rację.

Potem powiedział coś takiego, że poczerwieniałam jak burak, a usta zrobiły mi się całkiem białe.

– Więc jak pomarszczony starzec z jajem zamiast głowy mógł spłodzić tak przepiękną dziewczynę?

W późniejszych latach nazywano mnie piękną częścią, niż mogę zliczyć. Gejsze zawsze noszą miano pięknych, jeśli nawet zbyt nie grzeszą urodą. Lecz w trakcie rozmowy z panem Tanaką nic nie wiedziałam o gejszach. I prawie mu uwierzyłam.

*

Kiedy już doktor Miura przemył mi opuchnięte usta i gdy kupiłam garść kadzidełek, po które posłał mnie ojciec, podniecona

ruszyłam do domu. Kłębiło się we mnie bardziej niż w mrowisku. Byłabym pewnie spokojniejsza, gdyby wszystkie moje uczucia zmierzały w tę samą stronę. Ale nic z tego. Miotalam się niczym skrawek papieru na wietrze. Gdzieś pomiędzy myślami o matce – i gdzieś poza bólem zranionej wargi – zagnieździł się przyjemniejszy obraz, pobudzający moją wyobraźnię. Pan Tanaka. Przystanęłam na skałach i spojrzałam w morze, tam, gdzie nawet po ścichnięciu burzy fale były ostre niczym zęby głazów i gdzie niebo na dobre przybrało mętną barwę błota. Upewniłam się, że nikt mnie nie widzi, przycisnęłam kadzidła do piersi i zaczęłam szeptać nazwisko „Tanaka”. Rzucałam je w szum wiatru, aż z rozkoszą usłyszałam zaśpiew każdej sylaby. Wiem, że zachowywałam się okropnie głupio, ale cóż z tego? Przecież byłam tylko małym, skołowanym dzieckiem.

Po kolacji ojciec jak zwykle wybrał się do wsi, żeby pokibicować rybakom grającym w shogi. Satsu i ja w milczeniu sprzątałyśmy kuchnię. Bezskutecznie próbowałam przywołać przyjemne uczucie, jakie wyzwał we mnie widok pana Tanaki. Chłodna cisza panująca w domu sprawiała, że z uporczywym strachem myślałam o chorej matce. Kiedy spocznie na wiejskim cmentarzu, obok innych członków rodziny ojca? I co wtedy będzie ze mną? Podejrzewałam, że Satsu zajmie miejsce zmarłej matki. Obserwowałam ją, jak czyściła żelazny garnek, w którym ugotowałyśmy zupę. Miała go tuż przed sobą – przed oczami – a mimo to nie byłam pewna, czy w ogóle go widzi. Skrobała ścianki naczynia, choć dawno już z nich zniknęły ostatnie ślady brudu.

- Źle się czuję, Satsu-san – powiedziałam w końcu.
- Idź na dwór i zagrzej kąpiel – burknęła i mokrą dłonią odgarnęła z oczu zmierzwione włosy.
- Nie chcę się kąpać – zawołałam. – Satsu, mama umiera...
- Garnek pękł. Zobacz!
- Nie pękł. Zawsze miał taką skazę.
- To gdzie się podziła woda?
- Wylałaś. Patrzyłam.

Satsu musiała to mocno przeżyć, gdyż, jak zwykle w podobnych chwilach, na jej twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnego

zakłopotania. Nie powiedziała nic więcej, tylko zabrała garnek z kuchni i poszła go wyrzucić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego ranka, żeby zapomnieć o kłopotach, poszłam popływać w niewielkim stawie, położonym pod kępą sosen, w pobliżu naszej chatki. Przy dobrej pogodzie przychodziło tam wiele wioskowych dzieci. Czasem także pojawiała się Satsu, wystrojona w dziwaczny kostium kąpielowy, który sama uszyła ze starych ubrań ojca. Nie był to dobry kostium, gdyż zawsze odstawał jej od piersi, kiedy się pochylała, a to z kolei niezmiennie wywoływało okrzyki chłopców:

– O! Widać górę Fuji!

Satsu nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

Koło południa zgłodniałam, więc postanowiłam wrócić do domu. Satsu odeszła dużo wcześniej, z synem pomocnika pana Tanaki. Nazywał się Sugi. Zachowywała się przy nim jak pies. Wystarczało, że tylko zerknął przez ramię, a już posłusznie dreptała we wskazane miejsce. Nie spodziewałam się jej przed kolacją, więc ze zdziwieniem zobaczyłam ją w dole ścieżki, opierającą się o drzewo. Ty pewnie od razu byś zrozumiał, co się dzieje, ale ja byłam tylko małą dziewczynką. Satsu zsunęła kostium z ramion, a Sugi zabawiał się „górami Fuji”, jak je nazywali chłopcy.

W czasie choroby matki Satsu nabrała nieco kluchowatych kształtów. Piersi miała tak samo w nieładzie jak włosy. Co najciekawsze, to właśnie ów „nieporządek” zdawał się budzić

największe emocje w Sugim. Pieścił je dłonią, odsuwał i patrzył, jak leniwie wracają na swoje miejsce. Wiedziałam, że nie powinnam podglądać, ale co miałam robić, skoro nie mogłam iść dalej?

– Po co się kulisz za drzewem, Chiyo-chan? – usłyszałam nagle zza pleców słowa wypowiedziane męskim głosem.

Zważywszy na to, że miałam dziewięć lat, że wracałam z kąpieli w stawie i że widok mojego ciała jeszcze nie budził w nikim żadnych głębszych uczuć... łatwo sobie wyobrazić, jak byłam ubrana.

Odwrociłam się, wciąż siedząc w kukki i rękami próbując zasłonić nagość. Za mną stał pan Tanaka. Chyba nic bardziej nie mogło mnie wprawić w zakłopotanie.

– To chyba twoja trzęsichatka? – spytał. – A tam stoi chłopak od Sugich. Znalazł sobie zajęcie... Znasz tę dziewczynę?

– To... moja siostra, proszę pana. Czekam, aż sobie pójdą.

Pan Tanaka przyłożył dłonie do ust i krzyknął. Chwilę potem usłyszałam tupot. To Sugi uciekał jak szalony w głąb ścieżki. Satsu chyba też zrejterowała, gdyż pan Tanaka stwierdził, że mogę już iść do domu i w coś się przyodziać.

– Daj to siostrze, kiedy ją spotkasz – dodał.

Wręczył mi zawiniątko z ryżowego papieru, mniej więcej wielkości rybiej głowy.

– To chińskie zioła – wyjaśnił. – Nie słuchajcie doktora Miury, gdy orzeknie, że są bez wartości. Powiedz siostrze, żeby je zaparzyła i dała matce do picia. Złagodzą ból. Są cenne, więc uważajcie, żeby ich nie zmarnować.

– Lepiej będzie, jak ja zrobię wywar. Siostra nawet nie umie dobrze zaparzyć herbaty.

– Doktor Miura mi mówił, że masz chorą matkę, ty narzekasz, że siostra nie zaparzy herbaty?! – zawołał pan Tanaka.

– Co z tobą będzie, Chiyo-chan? U boku starego ojca... Kto ci zapewni odpowiednią opiekę?

– Teraz też radzę sobie przeważnie sama.

– Znam pewnego człowieka. Jest już stary, lecz kiedy był w twoim wieku, stracił ojca. Następnego lata umarła mu matka,

a potem starszy brat uciekł do Osaki. Chłopiec pozostał sam. Brzmi znajomo?

Pan Tanaka popatrzył na mnie z takim wyrazem twarzy, że nie ośmieliłam się zaprzeczyć.

– Tak... Ten człowiek to Tanaka Ichiro – dodał. – Czyli ja... Tylko wówczas nosiłem nazwisko Morihashi. W wieku dwunastu lat trafiłem do rodziny Tanaka. Gdy podrosłem, wziąłem za żonę jedną z ich córek i zostałem adoptowany. Teraz pomagam w prowadzeniu rodzinnej firmy. Widzisz więc, że dla mnie wszystko skończyło się szczęśliwie. Może i ty, dziecko, zaznasz lepszego losu...

Przez chwilę spoglądałam na jego siwe włosy i na zmarszczki na czole, głębokie niczym rysy na korze drzewa. Wydawał mi się najmądrzejszym człowiekiem świata. Pomyślałam, że wie o rzeczach, których nigdy nie będę знаła, i że nigdy w życiu nie dorównam mu elegancją. Nigdy też nie włożę równie pięknego, niebieskiego kimona. Siedziałam przed nim naga, przycupnięta w piasku, z poplątanymi włosami i brudną buzią, woniejąca zaskalą wodą ze stawu.

– Nikt nie zechce mnie adoptować – powiedziałam.

– Nie? Jesteś przecież wyjątkowo bystrą dziewczynką. Nazwałaś swój dom „trzęsichatką”, o głowie ojca mówisz, że wygląda jak jajo...

– Bo to prawda.

– Niczemu nie zaprzeczam – odparł. – A teraz biegnij, Chiyo-chan. Na pewno zgłodniałaś. Jeśli twoja siostra zasiądzie do zupy, połóż się na podłodze i czekaj, aż ci coś skapnie.

*

Od tamtej pory zaczęłam marzyć, że zostanę adoptowana przez pana Tanakę. Czasami nawet zapominam, jak przez to cierpiałam. Chwytałam się wszystkiego, aby zaznać nieco wytchnienia. W najgorszych chwilach wracałam myślami do matki, do czasów kiedy o porankach nie jęczała z bólu. Miałam zaledwie cztery lata, gdy wybraliśmy się do wioski na święto obon. Był to ten czas roku, w którym witaliśmy wracające na

ziemię duchy zmarłych. Przez kilka dni, zaraz po wieczornej uroczystości na cmentarzu, paliliśmy ogniska przed domem, żeby wskazać przodkom właściwą drogę. Ostatniej nocy było wielkie zgromadzenie w świątyni shinto, postawionej na skałach u wejścia do zatoki. Przed wrotami świątyni, wokół niewielkiej polany, na sznurach rozciągniętych wśród drzew rozwieszono kolorowe lampiony. Przez chwilę, wraz z innymi mieszkańcami wioski, tańczyłam u boku matki, w rytmie bębnów i fletu. Potem poczułam się zmęczona. Matka wzięła mnie na ręce i usiadła na skraju polany. Nagły podmuch wiatru od strony morza zatrzepotał lampionami. Jeden z nich cały stanął w płomieniach. Patrzyłyśmy, jak ogień pełnie po sznurze, jak lampion spada... jak uniesiony kolejnym powiewem ponownie szybuje w górę, ciągnąc za sobą ogon złocistych iskier. Znowu przypadł do ziemi i znów się poderwał, niesiony na skrzydłach wiatru wprost w naszą stronę. Matka puściła mnie i wyciągnęła ręce, by zdusić ogień. Przez chwilę obsypywał nas deszcz płomyków i iskier; potem resztki lampionu odfrunęły za drzewa i tam zgasły. Nikt – nawet matka – nie doznał poparzeń.

*

Mniej więcej tydzień później – a było to dość czasu, aby moje marzenia o adopcji zdążyły zblednąć – pan Tanaka odwiedził mojego ojca. Zastałam ich po południu, siedzących przy stoliku i pogrążonych w poważnej rozmowie. Wiedziałam, że w poważnej, gdyż nawet nie zauważyli mojego powrotu. Przystanęłam w połowie kroku, żeby posłuchać, o czym mówią.

– I co ty na to, Sakamoto?

– Nie wiem, proszę pana – odparł ojciec. – Nie wyobrażam sobie, by dziewczynki mogły zamieszkać gdzieś indziej.

– Wierzę, lecz z drugiej strony uważam, że powinny odejść. Tak będzie lepiej dla ciebie i dla nich. Dopilnuj tylko, żeby jutro wieczorem dotarły do wioski.

Pan Tanaka wstał i skierował się w stronę drzwi. Udawałam, że dopiero weszłam, więc spotkaliśmy się w progu.

– Rozmawiałem o tobie z ojcem, Chiyo-chan – powiedział.

– Mieszkam po drugiej stronie wzgórz, w Senzuru. To większa miejscowość niż Yoroido. Na pewno ci się spodoba. Chcesz tam pojechać? Weźmiemy też Satsu-san. Zobaczysz mój dom i poznasz małą córeczkę. A może nawet zanocujesz? Tylko raz, potem znowu odwiezę cię do ojca. Zgoda?

Odpowiedziałam, że to bardzo miłe. Z całych sił udawałam, że nie zaszło nic niezwykłego, chociaż coś z głuchym hukiem eksplodowało mi w głowie. Nie umiałam pozbierać porzrzucanych strzępków myśli. To prawda, że częściowo czepiałam się nadziei, iż pan Tanaka przygarnie mnie po śmierci matki, ale ta wiara była grubo podszyta strachem. Wstyd mnie ogarniał na sam pomysł, że mogłabym spędzić noc poza trzęsichatką. Po wyjściu pana Tanaki zakrzątnęłam się w kuchni, lecz, niczym Satsu, nie widziałam stojących przede mną naczyń. Nie wiem, ile minęło czasu. Wreszcie usłyszałam, że ojciec pociąga nosem. Pomyślałam, że płacze i poczerwieniałam ze wstydu. Kiedy w końcu odważyłam się spojrzeć w jego stronę, zobaczyłam, że z ręką wpłataną w sieci stoi w drzwiach prowadzących do drugiej izby, tam, gdzie w promieniach słońca leżała matka. Kołdra przyłgnęła do niej jak druga skóra.

*

Następnego dnia, przed spotkaniem z panem Tanaką, wyszorowałam brudne nogi i wymoczyłam się w kąpieli, w starym kotle zepsutej maszyny parowej, którą ktoś kiedyś porzucił w naszej wiosce. Ojciec odpiłował wierzch kotła, a wewnętrzne ścianki wyłożył drewnem. Siedziałam w wodzie długą chwilę, wlepiając wzrok w morze. Czułam się wolna; po raz pierwszy w życiu miałam zobaczyć coś ze świata położonego poza wioską.

Później wraz z Satsu stanęliśmy pod halą Japońskiego Przedsiębiorstwa Rybołówstwa Morskiego i patrzyliśmy, jak rybacy wynoszą połów na przystań. Był wśród nich i nasz ojciec. Brał ryby w kościste dłonie i wrzucał je do podstawionych koszy. Raz nawet zerknął na mnie i na Satsu, a potem otarł twarz rękawem koszuli. Wyglądał na smutniejszego niż zwykle. Pełne kosze wędrowały na wóz zaprzężony w konie. Wspięłam się na

oś, żeby spojrzeć do środka. Większość ryb szklanym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń, lecz niektóre lekko poruszały pyszczkami, jakby cicho krzyczały.

– Czeka was podróż do Senzuru, rybki! – próbowałam je uspokoić. – Wszystko będzie dobrze.

Nie miałam serca powiedzieć im prawdy.

Wreszcie na ulicy zjawił się pan Tanaka. Kazał nam usiąść obok siebie, na koźle wozu. Zajął miejsce w środku, tak blisko niego, że poczułam na rękę dotyk niebieskiego kimona. Nic nie poradzę – poczerwieniałam jak burak. Satsu patrzyła na mnie, lecz chyba nic nie zauważyła, gdyż wciąż miała zwykłą, zaspaną minę.

Większość drogi spędziłam spoglądając za siebie, na rozhuśtane kosze z rybami. Kiedy wjechaliśmy na wzgórze okalające Yoroido, wóz nagle podskoczył na jakimś kamieniu. Na drogę wypadł okazały morski okoń. Pacnął o ziemię z taką siłą, że zbudził się do życia. Nie mogłam patrzeć, jak się rzucał i szeroko otwierał pyszczek. Ze łzami w oczach odwróciłam głowę. Chociaż nie chciałam, pan Tanaka i tak to zauważył. Gdy podniósł rybę i ruszyliśmy w dalszą podróż, zapytał, co się stało.

– Biedny okoń! – wykrztusiłam.

– Jesteś jak moja żona. Na szczęście większość ryb dociera do niej martwa, ale przy gotowaniu krabów lub innych żywych stworzeń zaraz zaczyna płakać i nucić pod nosem.

Pan Tanaka nauczył mnie krótkiej przyspiewki – po prawdzie bardziej przypominała modlitwę – wymyślonej ponoć przez jego żonę. Piosenka była przeznaczona dla krabów, lecz zmieniliśmy niektóre słowa.

Suzuki yo suzuki!

Jobutsu shite kure!

Okoniu, mój okoniu,

Wkrótce staniesz u bram raj!

Potem zaśpiewaliśmy kołysankę. Nie znałam jej wcześniej.